Nr. 50. **Rok 13.**

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, *dnia 12. Grudnia 1846.*

Podróż z Teb do półwyspu Sinai (ciąg dalszy). — Uboga kuzynka (ciąg dalszy). — Dalszy ciąg zbioru pieśni Colberga.



Góra Sinai,

podług professora Lepsiusa.

Podróż z Teb do półwyspu Sinai.

(Ciąg dalszy.)

Po owym tak ceremonialnym obiedzie zabrałem się z panem Lepsius do wędrówki w góry. — Jak już wyżéj wspomniałem, towarzyszył nam braciszek zakonu, i oprócz tego dwóch służalców klasztornych, Arabów, niosących wór z sérem, chlebem, kawą, wraz z naczyniami do jéj gotowania. Wychodząc z klasztoru nie potrzeba się udawać owym otworem 30 stóp wysokim; można wyjść z klasztoru podziemnym, licznemi drzwiami opatrzonym gankiem, do ogrodu, odłączonego od klasztoru zupełnie; z ogrodu jest wyjście na pochyłą równinę, lecz wyjście umieszczone jest w murze ogród otaczającym, a 12 stóp wysokim; zwieszona tutaj jest lina, po któréj się każdy na dół spuszcza, lub do góry wspina. To ostrożne postępowanie jest zabytkiem z czasów prześladowania Chrześcian; zachowano go jeszcze i w tych czasach. Tuż obok owego wychodu zaczyna się równina coraz wyżéj wznosić — między górami Gebel-Harûf (owcza-góra) i górą Maria.

O trzy kwadranse na 1szą wyruszyliśmy byli w pochód, a o 2giéj przechodziliśmy obok kościoła Maryi; nie zatrzymując się wcale postępowaliśmy ciągle daléj, przybyliśmy w pół godziny potém na miejsce Eliasza, na którém wystawiono kościół i Eliaszowi poświęcono; tutaj znajduje się obok ogromnego cyprysu studnia z nadzwyczaj dobrą wodą. Ztąd dopiero ujrzeliśmy Gebel-Musa (góra Mojżesza), szorstkiemi ścianami i białawą farbą granitu odznaczający się czub góry. — Po wschodach częścią mozolnie wyrąbanych, częścią odrębnie kładzionych, dostaliśmy się na wierzchołek téj góry. Trudno jednak oznaczyć wysokość téjże góry, podług owych stopni, jak to czynili niektórzy podróżni; często się one bowiem zwracają w bok, albo téż kołują. O kwadrans na 4tą stanęliśmy szczęśliwie na szczycie góry, mając jak najwspanialszy widok; szkoda tylko, że zamknięty pobliskiemi górami — nie mogliśmy bowiem widzieć morza. Gebel-Musa wysoka 7030 stóp; znajdują się na téj górze ruiny starego klasztoru, który w dawniejszych czasach przez dzikie Arabów hordy zburzony został. Braciszek zakonny zwracał naszą uwagę na rozpadlinę, gdzie się miał Mojżesz znajdować, kiedy Pan obok niego przechodził, gdy przeciwnie Arabowie wskazywali na tropy wielbłąda Mahomeda, które się w skale głęboko odcisły. Po całogodzinnym pobycie na téj górze, którą pierw miano za górę Sinai, spuściliśmy się znów na dół, zmierzając ku Gebel-Horeb, nazwanéj przez Robinsona górą Sinai. Późniéj na stósowném miejscu wykażę, jak w ogóle o całém pasmie tych gór powątpiewać trzeba, czy było istotnie teatrem scen biblijnych; i owszem — podług mnie jest dziwne i uderzające podobieństwo innéj wcale okolicy, która się zupełnie da zastósować do opisu biblii. Jednakże już naprzód namieniam, że zmienienie nazwiska dotychczasowego góry Sinai jest pomysłem zupełnie prawie dowiedzionym przez prof. Lepsiusa, który to pomysł wspomniany Lepsius ogłosił już drukiem, przesyłając go akademii berlińskiéj z dołączeniem dwóch mapp objaśniających.

Droga na Horeb prowadziła obok Gebel-Harûf i Safsaf; napotkaliśmy tutaj wiele kapliczek pod nazwą „Wszystkich świętych.“ Bardzo szybko weszliśmy na górę Horeb, co było śmiałém i niebezpieczném przedsięwzięciem, którego żaden podróżny, według zdania przewodnika, nie podjął. O kwadransie na szóstą — a więc w godzinę po opuszczeniu Gebel-Musa — znajdowaliśmy się na wierzchołku góry Horeb, która ma być o kilka stóp niższa od pierwszéj; widok jednakże z ostatniéj daleko jest obszerniejszy i znaczniejszy; można bowiem zupełnie przejrzeć dolinę Racha, na któréj się miało odbyć tyle zdarzeń biblijnych, według zdania zakonników. Tylko kwadrans zostawaliśmy na wierzchołku, bo spuszczające się słońce ku zachodowi nagliło do powrotu, który całą godzinę czasu i trudów zabrał.

Następnego dnia zabraliśmy się do wyjazdu z klasztoru; najęto więc w tym celu sześć wielbłądów i to tylko po pięć piastrów od każdego na dzień. Przedpołudnie spędziliśmy na otrzepywaniu ścian klasztornych, gęsto obsianych napisami, z których najważniejszy znajduje się nad zamurowaną bramą. — Najwyższego grzbietu gór wcaleśmy nie zwiedzili; — jest to góra pod nazwą „ś. Katarzyny,“ 8060 stóp wysoka. Klasztór wraz z ogrodem leży może 4000 stóp nad powierzchnią morza — a jednak udają się tutaj najpiękniejsze owoce, jako: aprykozy, figi, oliwa, migdały, brzoskwi-

nie i wino. W zimie wiele tutaj spada śniegów, co wielce użyznia ogrody, które nawet i latem mają podostatkiem wody. Z tém wszystkiem ogrody tutaj jednak bardzo źle utrzymywane. Braciszek zakonny jest ogrodnikiem, mając do roboty kilku niewolników. Pomiędzy zakonnikami znajdują się także szewcy, krawcy, stolarze, piekarze, kucharze i inni robotnicy, którzy pracują dla klasztoru. — Zabawiwszy więc spełna dwa dni, opuściliśmy klasztór z południa. Szafarz klasztorny zaopatrzył nas na drogę w wodę i chléb, poczémeśmy opuścili klasztór, rozdawszy upominki w pieniądzach pomiędzy ludzi nam usługujących. Celem najbliższym naszéj podróży była góra Serbâl, którą Lepsius prawdziwym Sinai być mieni. Z równiny Racha przechodząc obok pagórka Arûn (Aaron), udaliśmy się na prawo do Wadi ê Szech; w tym dniu dwie godziny tylko podróżowaliśmy. Nazajutrz jechaliśmy wciąż wzdłuż Wadi ê Szech ku północno-wschodniéj stronie, aż do południa, a po opuszczeniu Wadi ê Szech przebiegliśmy Wadi-Salaf w całéj jego szerokości, a przyszedłszy do Wadi-Rim, postępując ciągle w górę, rozbiliśmy po półjedenasto-godzinnéj podróży nareszcie u jednego źródła namioty, aby się z tego punktu nazajutrz dostać na górę Serbâl, do stóp któréjśmy się przerznęli. Niedaleko od nas był obóz Arabski.

27go Marca o 7méj rano opuściłem z professorem Lepsiusem obóz, biorąc z sobą trzech wielbłądów objuczonych wodą, chlebem i bronią palną, postępując pieszo ku potężnemu pięciogłowemu Serbâl. Widać go z każdéj strony, wpada on bowiem w oczy, tak swą postacią, jakoteż odosobnionem położeniem, gdy przeciwnie zwyczajnie mniemany Sinai ginie w pośród wysokich gór. Po godzinnéj podróży stanęliśmy u podnóża nagich skał góry Serbâl. Nie mogąc z téj strony wdrapać się na górę, obeszliśmy ją aż do południowéj strony, gdzie znalazłszy bitą drogę, nią postępowaliśmy. — Droga ta prowadzi około chat z kamienia budowanych, koło jaskiń i źródła, które się odznaczało nader wysokiém sitowiem i krzakami. Pomiędzy krzakami znajdował się także Jassur, czyli „Asa-t-Musa,“ tak nazwana laska Mojżesza, z którego to krzaka miał Mojżesz laskę cudowną urznąć — zapewne dla tego, że krzaki te mają długie, proste i gładkie gałęzie; w ogrodzie klasztornym widziałem także kilka tego rodzaju krzaków; podług Linneusza, należą one do gatunku „Colutea.“ Nazbierałem dojrzałego nasienia z krzaków, a w wodzie łowiłem małe wodne chrząszcze. Wzmiankowana droga skończyła się potém; nie znaleźliśmy wcale ruin klasztoru, o których Burkhart w swéj podróży wspomina; naszukawszy się ich nie mało, pięliśmy się na górę suchém korytem, wyrobionem ulewnemi potokami. O 12téj stanęliśmy wreszcie na wzmiankowanym szczycie; ale spostrzegłszy, że najbliższy szczyt, leżący na północ, był większym, spuściliśmy się z drugiéj strony i z wielkiém natężeniem dostaliśmy na ów wierzchołek. Było właśnie pół do drugiéj. Cóż za zadziwiający widok z owego szczytu! Cały półwysep rozciągał się pod naszemi nogami, jakby jaka rozwiniona mappa; zdawał on się nam jakby przez kretów poryty kawał ziemi; tak się wszystko gubiło w nicości pod naszém 7000 stóp wzniosłém stanowiskiem. Międzymorza, tworzące ów półwysep, nazwane od „Suez“ i „Akaby“, zdawały się nam być rzekami, a nasz widok dosięgał zabrzeżnych krajów, t. j.: Egiptu i Arabii. Nasze uczucie nam wskazywało, że tutaj musiał przemieszkiwać Mojżesz, jako prawodawca w obliczu ziemi przeznaczonéj ku długim wędrówkom. — Zebrawszy się nieco po tak zajmującym, czarownym uroku tego ogromnego widoku, spożyliśmy nieco jadła i napoju. Uschłe korzonki ziół posłużyły nam zamiast drzewa do zgotowania kawy. Na Serbâl używaliśmy zapachów Arabii; są to owe zioła rozmaite i rośliny w niezliczonéj liczbie, które zresztą wcale nieurodzajny Serbâl szczególniéj na wierzchołkach ukrywa, a które nam wszystkie zapachy w najrozmaitszych sprawiały odmianach. Prof. Lepsius zatrudniał się skrzętnie zdjęciem kierunków odznaczających się punktów za pomocą kompasu; spostrzegł on, że góra Um-Szomar, a nie Gebel-Katharin — jak dotąd mniemano — jest najwyższą górą całego półwyspu, czém ją też także i Arabowie być mienią. O czwartéj godzinie największy był czas do powrotu; ażeby przed zapadnięciem jeszcze nocy dostać się do obozu, trzeba nam było pójść prostszą drogą, jak była owa droga na górę. — Znaleźliśmy takową wprawdzie niezadługo, lecz była niezmiernie stroma i popsuta. Była to parowa wyrobiona gwałtownemi ulewami,

przepełniona spławionemi głazami i gruzem, co każdy krok niebezpiecznym czyniło. Na ręku i nogach przedarliśmy się z największą ostrożnością przez owe walce i gruz. Była to straszna droga. U trzewików i pończoch zdarły się nam podeszwy, a bose nogi boleśne odbierały razy. Zwyciężywszy największą słabość, dostaliśmy się nareszcie po półtrzeciogodzinnéj najokropniejszéj podróży do obozu, i położyliśmy się osłabieni do najwyższego stopnia na piasek. Dla wewnętrznéj gorączki i febrycznego rozdrażnienia dopiéro późno sen słodki mnie nawiedził. Wcale to jednakże nie przeszkodziło do wstania nazajutrz równo ze świtem, aby daléj podróżować. O siódméj rano ruszyliśmy w pochód, powróciliśmy przez Wadi-Rim do Wadi-Salâf, a ztąd w półtoréj godziny do Wadi-Farân, który się bardzo osobliwie gliniastemi, 80 stóp wysokiemi, nasadami ziemnemi rozpoczyna po obu stronach ścian granitowych; w jedném miejscu zamyka wysoka owa szychta ziemi prawie zupełnie dolinę. Zdziwiło nas bardzo, żeśmy tutaj tyle zobaczyli ziemi; że zaś od téjże ziemi owa wielka żyzność doliny zawisła, jest niezawodną i godną uwagi rzeczą. — Poza temi pagórkami z ziemi zaczyna się las krzaków manny, nazwanemi od Arabów „Tarfa", a przez Ehrenberga „Tamarix manifera"; ciągnie się tenże las w dolinie długim ogonem, zostawując tylko wązką dróżkę. — W końcu zastępują go palmy daktylowe i drzewa Nebek (Ramnus spina Christi), z któremi się zaczynają Ganien, t. j. ogrody w szczególności, wywołane znacznem źródłem, które tutaj ze skały wytryska, a w kształcie strumyka równinę przerzynając, wszędzie bujną płodność rozprzestrzenia. — Dla nas stała się ta dolina zielona, opływająca w wodę, nie małą niespodzianką; ptastwo tutaj śpiewało, zwierzęta i ludzie pokazywali się, domy, dobrze uprawione pola i winne ogrody rozciągały się długim rzędem poza sobą, trawa i kwiaty rosły bujnie nad strumykiem. Tylko z wolna postępowaliśmy przez ten raj; w oddaleniu zaś widać było na górze, „Hererat-Zocheir" zwanéj, ruiny starożytnego klasztoru. Im się daléj postępuje, tém się dolina coraz bardziéj rozszerza, w środku zaś téj znacznéj przestrzeni wznosi się pagórek Hererat-Kebîr, na którym jeszcze znaczniejsze ruiny klasztoru, noszący dziś jeszcze nazwę „Farân" wraz ze zburzoném obok miastem, od czego cała dolina bierze swe nazwisko. Któżby nie miał poznać, że dzisiejsza nazwa „Farân" jest dawniejszém Pharan, przezco położenie dawniejsze zupełnie teraz oznaczone. Po 10téj rozłożyliśmy się w pobliżu tego pagórka przy wejściu Wadi-Alejat, prowadzącego do Serbâl, w cieniu krzaków Tarfa. Szukaliśmy na tych krzach manny, którąśmy téż ku wielkiéj radości naszéj znaleźli w téj rychłéj porze roku. Czasem zbioru jest miesiąc Maj. — Bez wątpienia (?) owa manna jestto ta sama, któréj poszukiwali Izraelici, co się jeszcze do dziś dnia dzieje; zbiór zaś téjże wcale nie jest tak nikczemny, jakby sądzono, lubo już nie jest tak obfity, jak biblia podaje; lecz co do tego mogło się w przeciągu tyluset lat wiele odmienić. To się zgadza z podaniami, że dzisiejsza manna równie spada z góry, — t. j. z wierzchołka krzaków, jak manna biblijna. — Manna, nie zebrana przed wschodem słońca, jeszcze i dziś niknie; dzisiejsi więc Arabowie zbierają równie troskliwie, jak niegdyś Izraelici, — nią się bowiem wraz z swym dobytkiem żywią. — Krzak manny, jestto rodzaj krzaka rosnącego także w południowych Niemczech dziko pod nazwą: Tamariskenstrauch — „Tamarix germanica" i „Tamarix gallica". Na krzaku tym znajduje się poczwarka mała żywiąca się — nawet po swéj przemianie wraz z potomstwem, — pewnym gatunkiem czerwca (coccus), jak u nas tak nazwane „mszyce." Chociaż jednakże krzaki Tarfa tak w Egipcie jak i w Nubii się znajdują, to nigdzie przecież nie ma na nich owych mszyc; nawet na półwyspie Sinai tylko w dolinie Farân znajdują się one na owych krzakach. — Owad ten kłuje swém żądełkiem, służącém do przyjmowania pokarmów, w delikatne gałązki, dla nasycenia się sokiem tychże; wkrótce jednak sączy się tyle owego soku, że zwierzątko to tylko bardzo małą cząstkę spożyć może. Reszta więc zsiada się, jak to wiele innych soków roślinnych — np.: gumma, żywica, wisien i tereśni, — i spada potém w kroplach i grupkach z gałęzi na ziemię w piasek. To się szczególniéj nocą odbywa; podczas dnia bowiem piekące słońce zgrupić się sokowi nie dopuści; gorąco więc słoneczne jest przyczyną, że na dniu manny już się nic nie znajduje, — bo zgrupiony podczas zimnéj nocy sok owych gałęzi, na gorąco palącego słońca wystawiony, znowu się roz-

puszcza i wsiąka w piasek. — — Wadi-Farân jest punktem najrodzajniejszym a zarazem jedynym na całéj półwyspie, gdzie manna pada; dla tego miejsce to daleko więcéj ma za sobą przyczyn, że było obozem Izraelitów podczas oczekiwania na prawa boże, jak dość dzika, przykra i nieprzystępna okolica około teraźniejszego klasztoru. Góra Serbâl oddalona jest od Wadi-Farân o godzinę drogi. W tém tylko miejscu mogli Izraelici doznać jakiego oporu; tutaj to pewno mieszkali Amalekici, nie chcący się z doliny ich żywiącéj wyruszyć; musieli być przeto wprzód przez Izraelitów pod przewództwem Mojżesza do szczętu zniesieni, bitwa zaś odbyła się pewno w przestroniu téj doliny z pagórkiem Hererat, na którym to pagórku stał Mojżesz wsparty podczas bitwy na Aaronie i Hur. W Raphidim wyprowadził Mojżesz wodę, a gdzież tę scenę lepiéj umieścić, jeżeli nie w tę dolinę, gdzie do dziś dnia jeszcze płynie najobfitsze źródło? Żeby się bowiem stan kraju tego miał istotnie o wiele zmienić, tego na żaden sposób przypuścić nie można; bo najprzód nigdy kraj ten nie uległ kulturze, a potém nigdy nie doznał zaburzenia. — Jeżelić więc dzisiejsi mieszkańcy téj krainy opisom biblii tak zostali podobnymi co się tycze obyczajów ówczesnych, ubioru i zwyczajów, o ileż więcéj musi w tym stósunku zostawać kraina? — Zdaje się także, jakoby najdawniejsi Chrześcianie górę Serbâl za istotny Sinai uznali; w pobliżu bowiem góry Serbâl znajduje się naokół téjże wiele bardzo ruin, szczątków i gruzów klasztornych i domów, czego u drugiego mniemanego Sinai wcale nie widać; że zaś miasto Pharan z klasztorem daleko jest starsze od dziś zamieszkałego klasztoru, na mniemanym Sinai, jest rzeczą wiadomą. Napisy także Sinai są na ostatnim bardzo rzadkie, na górze zaś Serbâl bardzo liczne. Są one płodem jednego tylko znajdującego się na téj półwyspie ludu chrześciańskiego, trudniącego się pasterstwem; daléj ich jeszcze nie odgadniono. Zresztą podobne do przepiórek kurki do dziś dnia się jeszcze często na półwyspie znajdują.

Rozłożyliśmy się więc na Wadi-Farân, pomiędzy wzgórzami Hererat i Wadi-Alejat. Ku wieczorowi dnia tego wstąpiliśmy na Wadi-Alejat, a po godzinnéj podróży stanęliśmy u podnoża góry Serbâl. Pięć jego wierzchołków sterczało na rozczerwienioném tle nieba przez zachodzące słońce, jakoby niebieskie, nagromadzone mgliste postacie. Z téj doliny ma być, według wieści ludu, bardzo dobra droga na górę Serbâl, którą-Abu Hamâd nazywają. Godne są uwagi w téj dolinie liczne chaty z kamienia, jakoteż i napisy Sinai na skałach granitu. Późno dopiero w śród ciemnéj nocy stanęliśmy w naszym obozie. Nazajutrz ruszyliśmy w pochód z Farân dopiero pół do dziesiątéj, bo Lepsius oglądał dokładniéj jeszcze okolicę, ja zaś zdejmowałem szkic pagórka Hererat, wraz z ruinami klasztoru i miasta Farân. Jeszcze pół godziny drogi zostawało nam przebyć od naszego stanowiska, aż do strumyka; oddalenie więc téjże wynosi 2 godziny drogi. Tylko z niechęcią opuściliśmy tę tak piękną, żywą i malowniczą okolicę, ową widownią najznamienitszych zdarzeń biblijnych Mojżesza — a wstąpiliśmy znowu w martwą pustynię. Między 2. a 3. godziną wyszliśmy z Wadi-Farân, która daléj się rozpościerając, gubi się nakoniec nad brzegami morza; przeszedłszy równinę, okrążyliśmy górę z piaskowca Makateb, dostaliśmy się na Wadi-Makateb, na ową wspomnianą dolinę, na któréj miękkich ścianach piaskowcowych nieprzeliczone napisy Sinai są wyrytemi. Tuśmy stanęli, rozbijając namioty o 4téj godzinie, dla odkopiowania najlepiéj napisanych napisów, co nam także cały dzień następny zabrało. Pomiędzy temi napisami odkryliśmy wiele greckich i kufickich, a nieodgadnione jeszcze tak nazwane „Sinai napisy“ miały często krzyż przed i po sobie. — W poniedziałek dnia 31. Marca rano wyjechaliśmy z Wadi-Makateb daléj ku północy, dostaliśmy się po godzinnéj podróży do Wadi-Kinneh, a ztąd wróciliśmy wkrótce do Wadi-Moghana, (dolina pieczar) gdzieśmy po niedługiém szukaniu znaleźli pieczarę z egipskiemi przedstawieniami, obrazami, które są wyryte na skalistych ścianach. Pieczary te powstały przez szukanie miedzi, co już w najdawniejszych czasach Egiptu (3000 lat przed Chrystusem) miało miejsce, jak wyobrażenia z napisami nam pokazują. Takowych obrazów jest dwadzieścia, a najstarsze przedstawiają króla Chufu (Cheops) i Numchufu, którzy największą piramidę pod Kahira zbudowali; przedstawiają ich owe obrazy w téj właśnie chwili, kiedy ścinają nieprzyjaciół. Te płaskorzeźby są więc bardzo wielkiéj wagi do historyi egipskiéj, ponieważ są w ogóle najdawniejsze,

a do tego jedyne istniejące przedstawienia tych królów. Oprócz tych wymienionych jest jeszcze dziesięciu królów ze starożytnego państwa i jedna królowa ze średniego. Aż do samego prawie wieczora zdejmowaliśmy owych obrazów kopie — a potém pociągnęliśmy daléj aż do góry Sarabit, albo Sarabut el Chadem. W tém miejscu miał nas oczekiwać nasz dragoman, który dzień przed tém pojechał był konno do okrętu dla przywiezienia żywności i zaspokojenia ludzi tamże zostających co do naszego długiego oddalenia. — Zwiedzeniem Sarabit el Chadem miał się wypełnić ostateczny cel téj podróży.

(Dokończenie nastąpi.)

Uboga kuzynka.

(Ciąg dalszy.)

„Nie widziałem go jeszcze;“ wziął go w rękę i zaczął przerzucać. „Śliczna tam powieść,“ ale a propos powieści, romansu, ja także coś podobnego mam z tobą do mówienia.“ — „Ja i romanse — to coś ciekawego,“ odparł żartobliwie troszkę — jednak zmieszany. Lecz ona tego nie dostrzegła, podała mu ramię i rozpoczęli przechadzkę.

„Mówiłam już z twoją matką d'un mariage de convenance, który mam dla ciebie. Jesteś majętny, z dobrém wychowaniem, twoi rodzice mają teraz un titre — potrzeba wam tylko stósunków z osobami du haut parage, cela impose a la petite noblesse, a nasz kraj tak tém nieszczęśliwie zarzucony. Osoba, którą ci proponuję, jest Fanny Babstyńska; jéj matka, jak wiesz, księżniczka z domu; brat ma księżniczkę. Outre cela w posagu dwa miliony, et je vous assure, że ładna dziewczyna.“ Teodor pilnie ją wysłuchał, a potém mówił: „Ale to pójdzie trudno — onaby mię nie chciała.“ — „Jak najłatwiéj mon cher. Dam ci list do hrabiny Maryi; już z nią o tém mówiłam — ona cię w dom wprowadzi, et avec vos elegantes manières, et que vous étes mon cousin wszystko pójdzie dobrze,“ kończyła z uśmiechem zadowolnienia. Potém obszernie zaczęła mu wykładać ułatwienia, które już porobiła, przechodzić bogactwa, przepych domu, wykwintne gusta, stósunki w wyższych towarzystwach, i zakończyła wystawieniem, o ile to wpłynie i podniesie jego stanowisko społeczeńskie. Nie wielkiéj trzeba było wymowy, żeby go przekonać, bo uderzony takiemi ponętami, tak się przerzucił w zwyczajną sferę swoich uczuć i myśli, że w chwilę zupełnie wytrzeźwiał z wrażeń, pod któremi go Julia zostawiła. Nie widział już gładkiéj powierzchni jeziora, nie słyszał pieśni słowika, lecz póki przechadzka trwała, rozważnie układał plany z ciotką na tę zalotną wyprawę.

VI.

W kilka dni po powrocie ze świąt Teodor był w domu rodziców, przesiedział już kilka godzin, a nareszcie zdecydował się nocować. Jego postępowanie z Julią, w niczém się nie zmieniło, tak jak dawniéj obsypywał ją czułemi słowami i spojrzeniami, wszak u rodziców zawsze były chwile nudów, które potrzeba było zabić. Nadszedł wieczór, młodzieniec z matką rozpoczął przechadzkę między trawnikami koło domu, prowadząc jakąś tajemną rozmowę, bo choć sami chodzili, cicho jednak rozmawiał. Przed domem na ławce siedział hrabia, przed nim stał ekonom, i radzili o gospodarstwie. O kilka kroków pod drzewem siedziała Julia; to ścigała oczami chodzącą parę, to wpatrywała się w pogodne wieczorne niebo! a kochanek i te gwiazdy, co nad jéj głową świeciły, zlewały się w jakąś całość w duszy dziewczyny, bo w nie patrząc, tém potężniejszą miłością go kochała, a myśląc o kochanku, gwiazd światło tém piękniejsze i jaśniejsze dla niéj było. Już miłość była dla niéj źródłem wszystkich uczuć i myśli — już rozbrzmiała jedną pieśnią, która odbrzękła w każdéj chwili życia. Teraz, kiedy w pomroce postać Teodora ledwie się rysowała, raz zniknęła i znów się ukazała wśród zieleni klombów, Julia okryła go całym swoim ideałem — formy jego ciała ulotniły się przed nią: zostało się tylko to, co potrzebném do osłonięcia ducha. I marzyła o nim jak o nieobecnym, a z tak rzeczywistém uczuciem, jak kiedy czuła uścisk jego dłoni. — Z tego stanu anielskiego dumania wyrwało ją dopiero głośne wołanie hrabiego, który upominał żonę o powrót do pokoju, bo poczynało być zimno. Sam poszedł spać, a chodząca para i Julia wrócili do salonu. Hrabina wyszła do przyległego pokoju, a dziewczyna zajęła miejsce przy stole, na którym stała świeca, i z jakiémś rzewném zadu-

maniem utkwiła oczy w światło przed siebie. — Teodor, jak zawsze, kiedy byli sami, tak i tą razą zbliżył się do niéj. Przenikliwe ciemne oczy utopił w jéj licach — potém zapytał spiesznym ucinkowym głosem: „Powiedz mi, co tobie jest Julio? Tyś jakaś smutna, obojętna dla mnie?“ — „Jeszcze obojętna,“ odparła i łza potoczyła się po licach dziewczyny. Ta czysta, bez najmniejszéj plamki namiętność Julii, która tak jasno w téj chwili wybijała z jéj oblicza, która się promieniła — w téj łzie, co zawisła na rzęsach, choć nie wniknęła do duszy Teodora, ale uderzyła jego wyobraźnię, i rozbudziła jakiémś uniesieniem serce. Zbliżył się do niéj, drżące ręce przyciskał do ust — prosił o miłość, zapewniał o swojéj. I jego nerwy, czucia, tak zadrzały, tak upoiły serce — że zapomniał o świecie, o stósunkach, o dumie — a każde słowo zdawało się Julii szczerém, jak modlitwa samotnego przed ołtarzem. I z całą ufnością przyjmowała to wylanie jego uczuć. A Teodor w uniesieniu opasał jéj giętką kibić, przycisnął do piersi i na ustach złożył pocałunek.

Przestraszona wyrwała się z jego objęć, poskoczyła ku drzwiom przyległego pokoju, kiedy na progu ujrzała groźną postać hrabiny, która ją przyjęła silném uderzeniem w policzek.

Dziewczyna zatrzymała się w miejscu prawie martwa, tchu jéj w piersiach zabrakło, oczy słupem stanęły, bo w jéj duszy zmieszało się uczucie miłości, przestrachu i poniżenia.

Hrabina z oburzenia słów znaleść nie mogła, lecz z twarzą jak ciemna chmura, z zaciętemi oczyma, z oczyma na wpół przymkniętemi, rzuciła się na pierwsze krzesło. Teodor pobiegł przywołać sług, a Julia bez myśli, bez wiedzy prawie, do nóg jéj się rzuciła: „Pani! jam zbrodni nie popełniła; on mój narzeczony, on mię zaślubi.“ Lecz silném popchnięciem nogi, odrzuciła hrabina klęczącą ubogą kuzynkę, i rzuciła na nią tysiącem najobelżywszych słów. Służące przyszły, hrabia na pół senny nadbiegł, i istotnie dzień sądny powstał w całym domu. Teodor tymczasem dosiadł konia i ujechał. W pół godziny Julia siedziała na małéj parokonnéj bryczce, blada i chwiejąca, cały ubiór w nieładzie — przed nią leżał spory węzeł z rzeczami, a w dłoni trzymała trzydzieści złotych. W jéj biednéj głowie tyle myśli na raz się krzyżowało, i w sercu tyle uczuć, że w duszy powstał chaos taki, iż na dobre nie wiedziała, gdzie i po co jedzie. Przy zmroku wieczornym rzuciła ostatnie spojrzenie na murowany dworzec, a po chwili unosiła ją spiesznie bryczka aleją topoli, które się ciągnęły nad brzegami drogi, i w ciemności przybierały postacie tego wszystkiego, czém jéj wyobraźnia najsilniéj była uderzoną. Widziała groźną postać hrabiny, zagniewane spojrzenie hrabiego, zdziwienie i ciekawość na twarzach służących. Lecz wśród tego przykrego obrazu snuła się jéj postać kochanka, z miłosném wejrzeniem, zwróconém ku niéj, a w lekkim szumie drzew słyszała słowa jego zaklęć i przyrzeczeń. I to wszystko razem splątane tworzyło jeden obraz boleści i szczęścia.

Tak mijały godziny — ledwie kilka gwiazdek przyświecało smutnéj téj drodze, a nikt, oprócz chłopka powożącego, pewnie o żalu Julii nie pomyślał. Ten słysząc to westchnienie, to czasem płacz głośniejszy, z czułością pytał: „czy nie chora?“ a przy każdéj wiosce: „czy nie chce spocząć?“ Lecz odebrawszy zaspokajającą odpowiedź, lub zachętę do dalszéj jazdy, pędził konie daléj. Raz tylko im chwilkę wytchnął, a nad ranem, w godzinie, kiedy wszystkie przedmioty wyrywają się z nocy i powstają przed okiem, jakby się rodziły, stanęły przed nędzną chatką na przedmieściu małego miasteczka. Tu mieszkała matka Julii.

VII.

W kilka dni po téj smutnéj scenie Teodor wyciągnięty w krześle siedział w swoim saloniku posępny i zadumany. Zamiast w ustach, tą razą w ręku trzymał niezapalone cygaro, i bez wiedzy zwijał i odwijał z niego tytuń, kiedy się drzwi otworzyły i wszedł w podróżném ubraniu Henryk. Powitał powstającego Teodora z większą niż zwykle serdecznością i w milczeniu zajął krzesło obok niego. Widać, że każdemu z nich jakaś myśl ciążyła, bo razem spojrzeli ku sobie i razem wzrok spuścili, jakby każdy miał coś powiedzieć, a nie umiał zacząć.

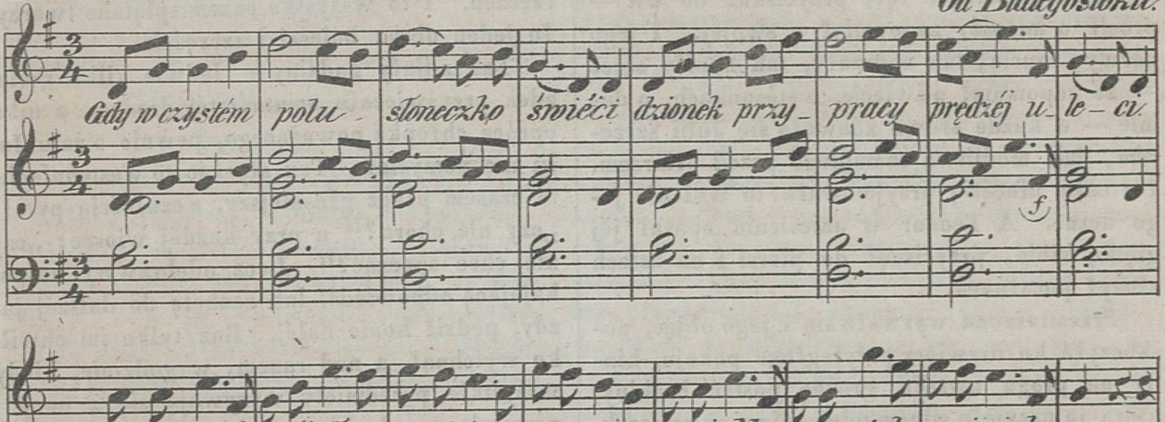
Nakoniec Teodor podniósł czoło, i mówił z obojętnością: „pisała mi moja matka, że dziś przyjedziesz.“ — „Wezwała mię wczoraj listem i wstąpiłem dziś do niéj.“ I znowu zamilkli i każdy spoglądał w blask mahoniowego stołu. Nareszcie Henryk przerwał milcze-

nie i mówił z delikatnością: „Wiesz już Teodorze, po co mię twoja matka wezwała?“ — „Nie wiem,“ odrzekł nie podniósłszy oczu. — „Zakłopotana, żeś się zakochał w Julii, a ona ma jakąś bogatą żonę dla ciebie. Lecz, złego posła we mnie wybrała,“ dodał wesoło: „Cieszę się z twego wyboru; to słodka i pełna czucia dziewczyna.“ Teodor silnie się zarumienił, nie wiedzieć, czy z gniewu, czy na wspomnienie dziewczyny, bo ciągle milczący bawił się cygarem — tylko czoło się zachmurzyło. I Henryk znać nie rozumiał téj jego gry twarzy, bo zapytał jakoś wahająco: „Mam więc powiedzieć twoim rodzicom, że nie odmienisz zamiaru zaślubienia Julii?“ — „Zkądże znowu — nie myślę o tém,“ odparł sucho. — „Więc ty jéj nie kochasz, więc ją zwodzisz?“ zapytał drugi zdziwiony. Na to jego zdziwienie Teodor podniósł znów czoło, na którém w miejsce chmury nieukontentowania, osiadła przymuszona spokojność. Porzucił cygaro i zwrócił się do Henryka z całą postawą i głosem dyplomaty.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

№174. P. ŚLACHECKA.

Od Białegostoku.



Text do *Nru. 174.*

Gdy w czystém polu słoneczko świéci,
Dzionek przy pracy prędzéj uleci.
A mnie chwile miléj płyną,
I godzina za godziną,
Z moją Maryną, matulu,
Z moją jedyną.

(Patrz Nr. 69.)

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: Dr. *Szymański.*)